II/1766/3

Losy do kraju

Nim przedstawię repatriację z Kresów Wschodnich do kraju w 1945 roku, kilka słów na temat mojej rodziny.

Urodziłam się w Stanisławowie. Matka moja była nauczycielką. Ojciec pracował w Wojewódzkim Urzędzie Policji Państwowej jako specjalista w zakresie daktyloskopii. Gdy miałam pięć lat rodzice rozeszli się. Dzisiaj nawet nie wiem, czy wzięli rozwód. Wtedy mówiło się, że sąd udzielił im separacji. W okresie międzywojennym prawo rozwodów nie przewidywało. Zgodnie z wyrokiem sądowym separację wychowywała mnie matka. Ojciec miał natomiast prawo kontaktowania się ze mną. Kontakty te polegały głównie na tym, że jeden miesiąc wakacji przebywałam u ojca w Stanisławowie. Matka natomiast mieszkała w Żabiu, miasteczku odległym o 80 km na południowy wschód od Stanisławowa. Ojciec był zapalonym turystą. Będąc u niego w czasie wakacji nie siedzieliśmy w Stanisławowie. Wędrowaliśmy po całej Polsce. Dzięki temu jako kilkuletnie dziecko zwiedziłam Lwów, Kraków, Warszawę, Gdynię, a nawet odległe Suwałki i Wilno. Stanowiska turystyczne pozostały mi prawie na całe życie.

Wrześniowej jedenastki wyjechałam do Stanisławowa. 18 września 1939 roku do Żabiu weszła armia sowiecka. Wraz z nią weszły również jednostki NKWD. Te nas praktycznie każdego Polaka uważały za wroga ludu. Rozpoczęły się masowe aresztowania i deportacje. Szukano również mojego ojca. Ten jednak - jak wspomniałam był oficerem Policji Państwowej ale jako pracownik laboratorium nigdy nie chodził w mundurze. Zatrzymać więc mnie mogli się mylić. Opuścił tylko Stanisławów

© ARCHIWUM WSCHODNIE

i wyjechał do Kołomyi. Tu ukrywał się do wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, a potem niedługo zmarł. O jego losach dowiedziałyśmy się z matką pod koniec wojny. Jesienią 1939 roku nic dowiedziałyśmy o ojcu nic. Może to i dobrze. Byłyśmy z matką wiele razy przesłuchiwane przez NKWD na temat ojca. Zawsze jednak twierdziłyśmy, że od czasu separacji kontaktów z nim nie utrzymujemy i nie wiemy co się z nim dzieje. Naraz dano nam spokój. Nie zostałyśmy deportowane do Kazachstanu w pierwszej kolejności, jak to nazywano z rodzinami wrogich państwowych, natomiast nas z rodzinami policyjnymi. Miano nas wywieźć w terminie późniejszym. Dowody na to NKWD przesłało opuszczając Kołomyję po wybuchu wojny z Niemcami. Praktycznie każda polska rodzina przedwrześniowa była deportacji. Na listach zestawionych przez NKWD zaznaczony był termin deportacji oraz miejscowość w Kazachstanie.

Pierwsi Sowieci przybyli do nas w pociągach kwietnia 1944 r. Muszę tu podkreślić, że o ile podczas pierwszej okupacji przeważnie każdy Polak był dla NKWD „wrogiem ludu", to teraz staramo się robić wrażenie, że są naszymi przyjaciółmi. Wkrótko jednak zorientowaliśmy się, że były to tylko pozory. Po przejściu frontu rozpoczęły się codzienne aresztowania. Objęto nimi przede wszystkim członków ruchu oporu, zwłaszcza członków AK. Wielu moich znajomych i przyjaciół znalazło się w łagrach. Niektórzy już podczas wstępnych przesłuchań zostali zamordowani w więzieniu w Stanisławowie. Równocześnie pojawiło się nowe zagrożenie. Otóż podniośli nacjonaliści ukraińscy, którzy oficjalnie głosili hasło: „wynoście się za San, bo jak nie, to was wymordujemy". W rezultacie, mordy Polaków stawały się coraz częstsze. Każdej nocy widać było łuny pożarów. To paliły się domostwa Polaków mieszkających w sąsiednich wioskach

Nawet w naszym miasteczku też pojawiły się zmowy i podpalenia. Przez wiele nocy nie spaliśmy w domach tylko chowaliśmy się w miejscowej fabryce papierosów. Zagrożenie nasze zaczęło jeszcze bardziej z chwilą powołania mężczyzn w ramach mobilizacji do II Armii Wojska Polskiego. Oficjalnie Ukraińcy powołani zostali do armii radzieckiej, ale wielu z nich nie zgłosiło się do komisji poborowych, poszli do lasu zasilając szeregi UPA. Dlatego też nie wiadomości, że można zgłaszać się na wyjazd do kraju, praktycznie wszyscy Polacy wyrazili chęć wyjazdu. Zrobiliśmy to również z matką. W biurze Komitetu Frontu Tymczasowego d/s Repatriacji otrzymaliśmy kartę ewakuacyjną oraz opis mienia pozostawionego w Zbłudowie. Był to dobrze umeblowany budynek mieszkalny oraz obejrzący do sad. Wyjaśniono nam również termin wyjazdu. Był to początek lipca 1945 roku. Zabrać ze sobą można było bagaż ważący do 100 kg na rodzinę. Jak już wspomniałam, matka była nauczycielką. Zabraliśmy więc trochę książek, drobne pamiątki i trochę żywności. Przybyliśmy z tym „dobytkiem" na stację kolejową. Tu okazało się, że na transport trzeba oczekiwać. Tor był stale zajęty przez transporty wojskowe. Nam się nikt nie przejmował. Wreszcie po kilku dobach załadowano nas na platformy kolejowe, czyli na tzw. „węgiery-towary", które wysyłano do Niemiec po zboże wojenne. Jechaliśmy ponad tydzień. Transport nasz dotarł do Kostrzyna nad Odrą. Tu dowiedzieliśmy się, że w mieście i okolicy grasują bandy wyrzutków oraz całe watahy różnorodnych szabrowników. Ogarnęła nas rozpacz! Nie wiedzieliśmy co robić. Po kilku godzinach oczekiwania na platformie pojawiło się dwóch kolejarzy, którzy zaproponowali nam cofnięcie naszego wagonu bliżej przedwojennej polsko-niemieckiej granicy. Jako zapłatę zażądali kilka butelek bimbru. Nie wiem kto im ten bimber dał. W końcu nasz wagon cofnięto do Drezdenka. Jest to

miasteczko położone koło Krzyża w kierunku na Gorzów Wielkopolski. Zamieszkaliśmy w małym jednorodzinnym poniemieckim domku.

Był to okres wakacji. Po paru dniach odpoczynku i uporządkowaniu mieszkania matka zgłosiła się do Inspektoratu Szkolnego w sprawie pracy nauczycielskiej. Wyjęto jej bardzo serdecznie, gdyż nauczycieli brakowało, a ona bardzo z pełnymi kwalifikacjami i długoletnią praktyką. Ja myślałam o podjęciu nauki w szkole wyższej. Przed wojną ukończyłam bowiem tylko pierwszą klasę gimnazjalną. W czasie wojny pracowałam. Żadnych kompletów ni mer nie było. Niestety, chcąc się uczyć musiałam opuścić Dzierdenko i matkę. A wiązało się to z tym, że w początkach sierpnia poproszono matkę do Urzędu Miasta i oświadczono jej że za dom w którym mieszkaliśmy należy płacić „bo jest to mienie poniemieckie". Wówczas matka pokazała opis mienia pozostawionego w Zabłotowie i oświadczyła, że pełnomocnik Urzędu Tymczasowego d/s Repatriacji gwarantował jej otrzymanie ekwiwalentu w Polsce za mienie pozostawione na Wschodzie. Nic to jednak nie dało. Urzędnik magistratu oświadczył, że za mienie poniemieckie trzeba płacić. Natomiast mieniem pozostawionym w ZSRR on się nie interesuje. Znalazłyśmy się w sytuacji przykrej. Matka podjęła więc pracę w szkole wiejskiej, gdzie otrzymała mieszkanie służbowe. Ja natomiast wyjechałam do Inowa do Białegostoku i tu rozpoczęłam naukę w liceum pedagogicznym. Były to w zasadzie przyspieszone kursy pedagogiczne. W ciągu roku przerabialiśmy program dwóch klas gimnazjalnych. W 1947 roku ukończyłam więc cztery klasy gimnazjum, czyli jak to się wówczas mówiło złożyłam tzw. „małą maturę". Ojciec i córka Inowa złożyli wtedy maturę, ponieważ nauki rozpoczęli jeszcze na tajnych kompletach w okresie okupacji. Ojciec pracował jako nauczyciel szkolnictwa

specjalnego w Kuratorium. W Białymstoku nie było jednak w tym czasie wyższej uczelni, gdzie kazimi mogliby podjąć studia. Dlatego też mój mąż zwrócił się z prośbą do Ministerstwa Oświaty o przeniesienie go do Krakowa. Prośba jego została uwzględniona i w sierpniu 1947 roku opuściliśmy Białystok. W Krakowie mój podjął pracę w Kuratorium, Kazimierz rozpoczął studia na akademii medycznej, Kazimierz na Uniwersytecie Jagiellońskim, a ja zapisałam się do liceum pedagogicznego. W roku 1949 zdałam maturę i otrzymałam dyplom nauczycielski. W tym samym roku podjęłam pracę nauczycielską w Szkole Podstawowej w Przylasku koło Andrychowa. W szkole tej spotkałam przyszłego mojego męża, który również rozpoczął pracę nauczycielską. Pobraliśmy się w sierpniu 1950 roku. Od 1 września zostaliśmy przeniesieni przez władze szkolne do Makowa Podhalańskiego. Mąż objął stanowisko kierownika szkoły, ja zostałam nauczycielką. W roku do szkoły naszej przeniesiona została również moja mama.

W czasie pracy zawodowej starałam się uzupełnić swoje wykształcenie. Ukończyłam studia zaocznych mgr ukończyłam dwa fakultety, ja - jeden. Studia zaoczne ukończyły również nasze córki i obecnie pracują jedna w zawodzie nauczycielskim.

W roku 1975 zmarła matka. Po jej śmierci sprawy repatriacji znowu pojawiły się w moim życiu. Wiązało się to z postępowaniem spadkowym odnośnie mienia pozostałego po Zabłotowie. Dokumenty opiewały bowiem na matkę. Ja nie, pomimo pełnoletności traktowano w czasie repatriacji jako cząstkę rodziny. Udałam się więc do miejscowego zespołu adwokackiego z prośbą o przygotowanie pełnomocnictwa do sądu w sprawie spadku po zmarłej matce. W czasie rozmowy z adwokatem pełnomocnictwa dowiedziałam się, że mecenas - przewodniczący zespołu - był moim znajomym. Na moją uwagę o powodzie tego zaskoczenia

usłyszałam, że prowadził w swojej praktyce sprawy spadkowe, ale w odniesieniu do mienia znajdującego się w Europie Zachodniej. Nigdy nie prowadził natomiast sprawy dotyczącej mienia pozostawionego w ZSRR. Na moją uwagę, że o ile boi się podjęcia tej sprawy ze względów politycznych, to niech mi wskaże innego adwokata, który takich obiekcji nie będzie miał. W sumie bardzo przewinął — motywowałam, wszystko jest w porządku i zupełnie proste. Mam na mieniu w Zakopanem pozostawiła na co posiadam wymagany dokument. Posiadam również dokumenty, że jestem jedynym spadkobiercą tego mienia. Ostatecznie wyraził zgodę na prowadzenie sprawy i sąd rejonowy, bez żadnych trudności uznał mnie spadkobiercą tego mienia. Formalnie więc wszystko jest w porządku. Faktycznie mam tylko „papierek". Przez wiele bardzo lat problem mienia pozostawionego przez tysiące Polaków na Wschodzie ze względów politycznych był przemilczany. Ostatnio zaczęto na ten temat mówić. Nawet Rzecznik Praw Obywatelskich p. prof. Tłokowska wystąpiła w tej sprawie do obecnego Rządu. Dalej jednak nic. Nowe władze oficjalnie głoszą, że rozliczają przeszłość totalitarnych względów komunistycznych, ale nic nie robią, aby zadośćuczynić krzywdzie tym, którzy opuścili domy Kresów Wschodnich tuż po wojnie i to nie z własnej woli!

Pisząc „tuż po wojnie" mam na myśli okres pierwszej repatriacji. Bardzo bardzo długo sprawa repatriantów, którzy wracali do kraju w okresie okupacji, to jest w latach 1957-1958. Mój konkretny przykład. W tej mojej w okresie międzywojennym mieszkał we Lwowie. Pracował tu jako nauczyciel matematyki w liceum ogólnokształcącym. Posiadał własny dom, nazywany przez nas „willą". Wielu Polaków po wojnie Lwów opuściło. Ale nie wszyscy. Wielu zostało, bo nie było tu tak jednoznacznie ze strony mocarstw listów ukraińskich jak my mieszkańcy małych miejscowości położonych w Karpatach Wschodnich. Został również mój stryj. Ukraińcy jednak obywatelstwo polskie, otrzymując obywatelstwo ukraińskie. Mimo to

mu nawet nazwisko „Iwaiński" na „Czajński." Nie wiem dlaczego to zrobiono, ale przypuszczam, że władzom sowieckim chodziło o tym wypisaniu o wykazanie, że na terenach włączonych do ZSRR w 1944 roku Polaków nie ma. Przecież wtedy też do wiadomości dziennikarzy, że w Polsce nie ma Niemców, Ukraińców, Białorusinów i innych narodowości. Czyni jednak wątpliwym fakt, że we Lwowie do 1958 roku funkcjonowało liceum ogólnokształcące z polskim językiem nauczania.[2] W liceum tym ukończył wtedy matematykę mój stryj. Wyjechać do Polski postanowił dopiero w 1957 roku, czyli w okresie tzw. drugiej repatriacji.

Warunki tej repatriacji były zupełnie inne niż wtedy w 1945 roku. Wtedy opuszczał Lwów w 1957 roku w zasadzie nie jako repatriant, lecz wyjeżdżał na moje zaproszenie. Aby jednak otrzymać zgodę na wyjazd, musiał przedstawić dokument, że w dniu 17 września 1939 roku był obywatelem polskim. Wówczas, jak wspomniałem wyżej według prawa radzieckiego posiadał obywatelstwo ukraińskie. Zaświadczam mu więc obywatelstwo polskiego na piśmie. W oparciu o oświadczenie dwóch osób (moje i mojej) wydział spraw wewnętrznych Prezydium Powiatowej Rady Narodowej wydał mu odpowiedni dokument dla stryja, który wraz z wymaganymi papierami udał się do Lwowa. W oparciu o te dokumenty otrzymał pozwolenie na wyjazd do Polski. Przed wyjazdem miał jednak sprzedać posiadany we Lwowie dom wraz z wyposażeniem. Za połowę uzyskanych pieniędzy mógł kupić różne towary, a drugą połowę rubli przekonwertować do banku. Za ruble te otrzymał po przybyciu do Polski równowartość w złotych. Do zakupionych we Lwowie towarów otrzymał kryty wagon towarowy. Wagon ten z Przemyśla przejęły służby PKP i skierowały go do Makowa Podhalańskiego. Przywiezionymi samochodami, motocyklami, rowerami i innymi wartościowymi artykułami po opłaceniu, pozwolił mu kupić później kamienicę tuż obok jednorodzinnego w Łodzi. Władze radzieckie przysłały mu również do końca życia emeryturę ze Lwowa.

Polacy przesiedleni natomiast zaraz po pierwszej repatriacji — o czym wspomniałam wyżej, zostali pozbawieni i do tychczas większości nie otrzymała żadnych rekompensat.

Na zakończenie chcę jeszcze podkreślić, że nie należę do tych przesiedleńców, którzy głoszą że chcieliby wrócić na tereny wschodnie. Ja w Makowie Podhalańskim czuję się bardzo dobrze. Góralle — Beskidzcy są mi tak samo bliscy, jak niegdyś Huculi z Żabiego. Tam miałam swoją Prutę, tu mam swoją Skawę. Krajobraz Beskidów jest podobny do krajobrazu Pokucia. Tu mam jednak cudowne wspaniałych wakacyjnych, tam tego nie miała. Nie oznacza to że myślami nie wracam do środowiska mojego dzieciństwa. Utrzymuję więc od lat stały kontakt z koleżankami i z kolegami, którzy podobnie jak ja są repatriantami z terenów wschodnich. Większość z nich osiedliła się i żyje na ziemiach Odzyskanych. Odwiedzamy się wzajemnie, chociaż niegdyś odwiedzin tych nie traktujemy jako „spotkań zjazdowych".

Przez wiele lat marzyłam aby pojechać do Żabiatowa i odwiedzić Huculszczyznę. Dzięki zmianom politycznym jakie dokonały się w Związku Sowieckim udało mi się to w tym roku. Otrzymaliśmy z mężem zaproszenie od koleżanki mieszkającej nadal w Żabiatowie. Przed wojną chodziłyśmy razem do szkoły powszechnej. W 1945 roku ja wyjechałam do Polski, Marusia Osolge Ukrainka została na miejscu. Dzisiaj jest emerytowaną nauczycielką. Przez wiele lat uczyła w szkołach średnich łaciny i języka niemieckiego. Mąż jej to emerytowany inżynier specjalista od budowy kopalń. W czasie miesięcznego pobytu miałam okazję pokazać mężowi (urodzony i wychowany koło Krakowa) Stanisławów, Kołomyję, Kosów, Jaremcze i wiele innych miejscowości, które poznałam jako dziecko podczas turystycznych wędrówek z ojcem. Przy okazji spotkałam się z innymi koleżankami i kolegami z ławy szkolnej, którzy żyją dzisiaj nie tylko na miejscu w Żabiatowie, ale również w Kijowie, Lwowie i w innych miejscowościach

Ukrainy. W Zabłotowie oglądałam mój rodzinny dom. Trochę go przebudowano i przystosowano do obecnej funkcji. Nie jest to już budynek mieszkalny. Znajdują się w nim różne punkty usługowe.

Mieszkańcy Zabłotowa – zarówno znajomi jak i przypadkowo spotkani na ulicy, odnosili się do nas bardzo serdecznie. Myślę, że serdeczność ta wynikała nie tylko z tego, że wielu z nich ma „krwiankę". Wynikała to przede wszystkim z tego, że ci ludzie mocno wtedy wiele ucierpieli w czasach stalinowskich. O tych sprawach rozmawialiśmy wielokrotnie.

Obecnie czekam na kolejne spotkanie z Marysią, tym razem w moim domu w Makowie Podhalańskim. Na to najprędzej wrócę przyszłego roku.

Maków Podhal. listopad 1990 Henryka Frajberg

© ARCHIWUM WSCHODNIE